

Niniejszy tekst jest własnością intelektualną autora. W celu jego wykorzystania należy się z nim skontaktować.

Ewa Owerczuk

Pod wpływem

Muzyka z płyty – jazzowa ballada - „Cry me a river”. Pusty pokój. Na środku sceny siedzi mężczyzna, a obok niego leży duży czarny pokrowiec na saksofon. Wokół niego stoją butelki po winie. Wszędzie znajdują się porzucane kartki. Słychać odgłos otwieranego korkociągiem wina. Ktoś pociąga haust z butelki.

Świetna melodia, nie? Zawsze jej słucham, gdy rano, punkt siódma czterdzieści autobusem linii numer sto pięć przez ulice Mazowiecką, Warszawską, Prusa i Orzeszkowej jadę do Urzędu Skarbowego. Dokładnie to włączam ją zawsze na trzecim przystanku, punkt siódma czterdzieści trzy sekund około pięćdziesięciu dwóch, ale rozbieżność może wynosić dziesięć - piętnaście sekund. Przystanek ten nazywa się „Bolesława Prusa/Szpital” i zawsze wsiadają na nim dwie specyficzne osoby. Pomimo tego, że wchodzą zawsze na tym samym przystanku i o tej samej godzinie, nie ujmuje im to wcale niezwykłości. Siedemdziesięcio dwuletnia staruszka z różowymi włosami w białej spódnicy z dużą torbą na ramieniu; kobieta całkiem miła, zawsze jeździ na gapę, a gdy kontroler do niej podchodzi, przypomina sobie swoje stare flirciarskie sztuczki z lat przedwojennych i zawsze z powodzeniem je wykorzystuje. Szczerze, to myślę, że tym gościom z kontroli to ona po prostu poprawia dzień swoim wyglądem i nieudolnym puszczeniem oczka dwoma oczami. Druga osoba to dziesięcioletni chłopiec w znoszonych adidasach. Zawsze ma na głowie czapkę założoną daszkiem do tyłu. Stoi, trzymając się poręczy i rozgląda się uważnie po autobusie. Widać, że chce mu się żyć. Nie to co mi. Czasami do mnie podchodzi i bez słowa wyjmuje mi jedną słuchawkę z ucha i po prostu słucha ze mną tej właśnie cholernej piosenki, mimo że wiem, że to typowy chłopaczynka spod bloku.

Przerywa. Muzyka dobiega końca, zaczyna się kolejny utwór - „Tears in Heaven” Nigela McGilla. Mężczyzna wzdycha głośno i z hukiem odstawia butelkę na podłogę.

Po cholere ja panu to powiedziałem? To był pewnie najnudniejszy monolog świata, jaki pan słyszał. Najnudniejszy i zupełnie bezcelowy. W sumie... Na monolog to może był trochę... Nie, jednak wydaje mi się, że długością był w sam raz. Nie za długi, nie za krótki. Idealny monolog idealnego pracownika Urzędu Skarbowego, a dokładniej urzędnika podatkowego. Tak, tak, dziękuję za oklaski. Chyba zaraz porzygam się z tej dumy ze swojego stanowiska. O, czeka pan, właśnie słyszę słowa swojego ojca: „Powinieneś być wdzięczny Bogu, że pozwolił ci zdobyć takie wykształcenie! Powinieneś dziękować ojcu i matce, że umożliwili ci studiowanie i naukę w najlepszych szkołach w mieście! Powinieneś...” Gównu powinienem, tato! Jedyna moja powinność, której nie spełniłem przez te wszystkie lata to nieposłuchanie ciebie. Cholerny, wpływowy tatusiek, wszędzie kontakty, protekcje na każdym szczeblu, w każdym najmniejszym biurze w tym beznadziejnym mieście! I głupia matka, ta idiotycznie uległa kobieta... „Idź, idź, synku, jak tata ci to umożliwił to nie zmarnuj okazji, idź koniecznie! Skończysz studia i będziesz miał pewną posadę! Aż do emerytury sobie tam posiedzisz i nie będziesz się martwił, że dzieciom nie będzie co do garnka włożyć!”. No i nie ma. Tylko nie jedzenia, a dzieci nie ma. Taki pech.

Muzyka cichnie. Mężczyzna wstaje z podłogi z butelką w dłoni. Lekko się zatacza.

I co, pan, myślisz, że jestem niewdzięczny typ, co? Otóż nie, nie jestem niewdzięczny! Wręcz przeciwnie, bardzo wdzięczny i w ogóle zgrabny ze mnie człowiek... Tyle że tu nie mam za co być wdzięczny, więc może i w istocie rzeczy w tej chwili rzeczywiście nie jestem wdzięczny... Mniejsza.

Dopija zawartość butelki i odstawia ją na ziemię.

Ja panu coś powiem, drogi panie. Tak tylko panu, w tajemnicy. To mój największy sekret, największa życiowa porażka, więc to pana do czegoś zobowiązuje. Właściwie to mój jedyny sekret, bo wie pan, ja jestem człowiek otwarty, bez tajemnic, ze mnie można czytać jak z otwartej książki, jestem przejrzysty jak woda w Bajkale, no, rozumie pan. I w ogóle to jest też to moja jedyna porażka, bo wszystkie kolejne, jakie przydarzyły się w moim życiu, są z nią ściśle powiązane. No ale dobrze. Chyba za bardzo się rozgadałem. Do rzeczy. Tak, właśnie, do rzeczy. Jak urzędnik. Rzeczowo, konkretnie i do celu. Właśnie. No to... Po pierwsze niech pan słucha, po drugie niech

pan nie puści pary z gę... ust, a po trzecie... niech pan jeszcze bardziej słucha.

Bierze głęboki wdech.

Bo ja...

Przerywa. Kręci głową.

Nie, ja panu nie powiem. Przecież pan mnie wyśmiej! Powie, że to nie przystoi jak na urzędnika, na takiego poważnego pracownika, człowieka pełniącego niezwykle ważną funkcję państwową... Ja wiem, ja wiem, że to nie przystoi, że to nie wypada, że to wbrew regułom, że to jest łamanie konwenansów, ja wiem, że to wszystko jest nienormalne, a wręcz niemoralne, ja wiem! ja...

Gwałtownie siada na ziemi. Kryje twarz w dłoniach.

Ma pan pojęcie, jak ta praca w ogóle wygląda? No wie pan, bycie urzędnikiem podatkowym w Urzędzie Skarbowym w naszym mieście, drogi panie. To jest w ogóle jakieś... Piekło! Nie, przepraszam, to jest uraza dla Lucyfera, bo jestem święcie przekonany, no jak Boga kocham, że w Piekło byłoby o stokroć razy lepiej niż za tym dębowym biurkiem za pięćset piętnaście złotych z Ikei, w pokoju numer dwieście siedemnaście na trzecim piętrze. Dwieście siedemnaście. To jeszcze gorsze niż sześćdziesiąt sześć, sześćset sześćdziesiąt sześć czy sześćdziesiąt dziewięć, to jest dwa razy takie zło, to jest ulepszony potomek Lucka, nowe pokolenie, nowa generacja, wersja zrobotyzowana, model trzy tysiące, to nasza przyszłość, to coś co nas zgładzi. Nie żadne roboty, potwory czy wielki powrót ery dinozaurów, nie żadna dziura ozonowa, globalne ocieplenie i lodowce, nie proszę pana, tylko pokój numer dwieście siedemnaście i wszyscy urzędnicy z Urzędu Skarbowego!

Wzdycha ciężko.

Nic to panu nie mówi, prawda? Pan wybaczy, uniosłem się. Zakładam, że nie ma pan pojęcia, jak to wygląda od kuchni. Sytuację już więc panu nakreśliłem – to Piekło wersja trzy zero. A dokładniej? Już panu demonstruję.

Wstaje i wychodzi. Gaśnie światło. Na scenie pojawia się stolik ze skromnym nakryciem dla jednej osoby. Mężczyzna mówi zza sceny.

Dzień przeciętnego, szarego urzędnika zaczyna się o godzinie szóstej trzydzieści. Nigdy wcześniej, nigdy później.

Wchodzi na scenę. W dłoni trzyma butelkę, z której bierze łyk wina. Odstawia ją na bok.

Szary urzędnik po załatwieniu swoich potrzeb fizjologicznych w toalecie, idzie do kuchni. I tu, drogi panie, niespodzianka, nie zastanie on jednak swojej żony ani dzieci. W myśl założenia „zwalczajmy stereotypy i utarte schematy” informuję pana i uprzejmie proszę, by poinformował pan o tym innych, że przeciętny urzędowy szaraczek ma w dowodzie wpisany stan cywilny „kawaler”, a co za tym idzie, dosyć oczywisty fakt - nie posiada również potomstwa. No dobrze, może nie dla wszystkich taki oczywisty, ale zaręczam panu, że jeden na milion urzędników na całym świecie sypia z przypadkowymi kobietami, a już na pewno jeden na trylion przy tym wpada i staje się ojcem. Zaskoczenie? Z pewnością. Ale przejdźmy dalej.

Zatrzymuje się przy stoliku i siada na krześle. Kładzie serwetkę na kolanach.

Jak pan widzi, zwykły urzędnik jest człowiekiem całkowicie skromnym i prostym, którego charakter nie obejmuje takich cech jak chciwość czy egoizm. Wręcz przeciwnie. Objawia się to chociażby w tym niewielkim posiłku – urzędników można nazywać wręcz altruistami. Niezachłanni, przede wszystkim ciężko pracujący na szczęście innych, na końcu na swoje. Jeszcze bardziej się pan zdziwił? Nie wątpię. Jednak to dopiero początek, dopiero poranek!

Wstaje od stołu i idzie dalej wzdłuż sceny.

Urzędnik je śniadanie punkt szósta pięćdziesiąt i kończy o godzinie siódmej pięć. Podczas posiłku

czyta wczorajszą gazetę lokalną. Wybiera z niej maksymalnie trzy artykuły średniej długości lub pięć krótkich tekstów albo jeden długi reportaż. Kiedy wybija siódma pięć, wstaje od stołu, odkłada gazetę do specjalnego pojemnika na stole, myje naczynia i o godzinie siódmej piętnaście idzie się ubrać.

Wychodzi. Gasną światła. Znika stolik z jedzeniem. Wchodzi na scenę w szarym garniturze i białej koszuli. Pokazuje się publiczności.

Przyjrzyj się dobrze, drogi panie, patrz uważnie. Tak właśnie wygląda strój przeciętnego urzędnika państwowego. Dlaczego jest szary? A co, szaraczek w różowym, drogi panie? Szary to kolor przeciętnych, niewyróżniających się obywateli, szary to kolor bezinteresownych, szary to synonim altruizmu, szary idealnie współgra z prawą duszą urzędnika. Szary jest bezpieczny.

Gdy urzędnik skończy się ubierać, pakuje w pokoju swoją teczkę.

Pokazuje zwykłą czarną aktówkę.

Teczka urzędnika jest w ogóle nieinteresującym zjawiskiem. Same grube pliki białych kartek, kilka szarych papierowych teczuszek, dwa czarne długopisy i spinacze do papieru. Też szare!

Wychodzi. Na scenie pojawia się zwykle jasne biurko i obrotowe krzesło. Na blacie stoi stary komputer z ekranem kineskopowym. Na scenę pada blade światło, mężczyzna mówi zza kulis.

Szaraczek zmierza na przystanek autobusowy spokojnym, powolnym krokiem, z rękoma opuszczonymi sztywno wzdłuż boków. O jego biodro obija się teczka. Czasami, gdy pada, w dłoni trzyma parasol – szary tak jak on. To brzmi jak jakaś cholernie nieprawdopodobna historyjka, co, miły panie? To jeszcze nic, słucha pan dalej! Szaraczek wyszedł z domu o godzinie siódmej dwadzieścia pięć, na przystanku jest o godzinie siódmej trzydzieści pięć. Autobus przyjeżdża pięć minut później, więc jest skazany na stanie w kolorowym tłumie na przystanku, ale kto go tam widzi. Ot, zwykły szaraczek! Ot, zgorzkniały urzędas! Tylko go wytykają palcami i szepczą, że to zło wcielone, że to szatan, dręczy biednych podatników, jakby on sam nie płacił podatków, jakby on sam był w ogóle innego gatunku, nie rodzaju ludzkiego. Diabelski szaraczek, przybysz z kosmosu, proszę państwa, proszę się odsunąć, on przecież spojrzeniem ściąga pieniądze!

W autobusie ten szaraczek obserwuje tę śmieszną dwójkę, o której opowiadałem w tym beznadziejnym monologu kilkanaście minut temu, pan pamięta, siedemdziesięcioletnia flirciara i chłopak w adidasach. I słucha muzyki przez słuchawki ze swojego niezbyt nowoczesnego telefonu marki Samsung. Spędza na swoim stałym miejscu w drugim rzędzie od początku siedem minut i...

Pojawia się na scenie i siada przy biurku.

... o godzinie siódmej pięćdziesiąt pięć siedzi już na swoim miejscu przy biurku z Ikei. Wyjmuje z teczki papiery, kładzie je na blacie i zaczyna swoją ciężką, mozolną pracę polegającą na ogółaniu z pieniędzy biednych, Bogu ducha winnych ludzi, którzy nienawidzą go już za samo miano urzędnika, a co tu dopiero mówić o zabieraniu pieniędzy!

I on też sam siebie nienawidzi.

Wzdycha i uśmiecha się sztucznie.

Ale dobrze. Wyjaśnić panu, co robię dokładniej? Otóż pracuję jako urzędnik podatkowy w dziale podatków pośrednich VAT. Prowadzę rejestr osób prowadzących działalność handlowo-usługową na terenie miasta, pilnuję, aby wszyscy zobowiązani uiszczali podatek od towarów i usług, podatek importowy, podatek akcyzowy. Robię miesięczne spisy, dokumentacje i takie tam... Stos papierów, mnóstwo programów komputerowych i zapalenie spojówek średnio co trzy miesiące. Totalna nuda, jak to stwierdził kiedyś ten chłopiec w adidasach, kiedy spytał mnie, gdzie pracuję. Tak, rozmawiał ze mną, niech się tak pan nie dziwi. Dzieci nie przejmują się konwenansami, one są ponadto. A poza tym to ja umiem rozmawiać z innymi. Naprawdę. Bo teoretycznie to mój zawód wymaga życzliwości i otwartości na innych ludzi. No ale jak, jak być otwartym na innych, być miłym i uprzejmym, kiedy oni traktują cię tak niemiło, jak śmiecia, jak zło konieczne, coś co hipotetycznie

mogłoby nie istnieć na tym świecie, ale co istnieje, bo nadaje mu ład i porządek, bla, bla, bla. I nie to, że ja nie umiem być życzliwy, że ja nie jestem. Nawet pan sobie nie wyobraża, jaki miły ze mnie człowiek! Naprawdę. Ale to, że jestem urzędnikiem wszystko przekreśla. Cały mój charakter, ukrytą inną osobowość, moje wszystkie wady, zalety, talenty... Jedna, cholerna metka, rozumie to pan?! To tak jakby do tego przekłętego garnituru była przyczepiona karteczka, na której dużymi literami wypisane jest: „URZĘDNIK PODATKOWY”. I każdy to widzi i omija mnie szerokim łukiem. Naprawdę, nie przesadzam! Ludzie po prostu przechodzą na drugą stronę ulicy, wyobraża to sobie pan?! Bo widzą urzędnika. Urzędnika! Jakby urzędnik to już nie był człowiek, jakby to było jakieś zwierzę, niższa klasa, coś obrzydliwego, straszego, śmierdzącego i zaraźliwego!

I to wszystko, całe zło mojego życia – to, że nie mam żony, nie mam dzieci, nie mam znajomych, nie chodzę do kina, do teatru, na koncerty, na wystawy, nie chłonę tego życia, tylko jestem jak sucha gąbka, zamiast wsiąkać to wszystko, wręcz tym ociekać, żyć, po prostu żyć i być, to ja to omijam, ja już nic nie chłonę i jestem niczym, po prostu szaraczkiem - urzędaskiem, cholernym człowiekiem w szarym garniturze, coś jak faceci w czerni, tyle że oni byli *fajni*, a ja jestem facetem w szarości i nie jestem ani *fajny*, ani nic.

W tle słychać jazzową wersję „When a man loves a woman”.

Pewnie się pan zastanawia, w czym to, że jestem szarakiem, przeszkadza w posiadaniu żony, prawda? Już tłumaczę. Otóż to jest zbadany i udowodniony naukowo fakt, niepodważalna prawda, coś jak twierdzenie w matematyce – tak już jest i basta: szaraczek może być w związku tylko i wyłącznie z szaraczkiem, a interesująca kobieta szaraczek trafia się raz na milion. Czyli w ogóle się nie trafia, a więc szaraczki są skazane na samotność. No chyba że są innej orientacji, ale tu też sprawa się komplikuje, bo dochodzą innej kwestie – społeczne uprzedzenia, rodzina, te wszystkie *coming outy* i tak dalej. Mniejsza. Z reguły nie tworzymy związków z kobietami wykonującymi inne zawody, ponieważ taka relacja jest z góry skazana na porażkę. Energiczna, pełna chęci do życia panna, która jest przede wszystkim traktowana jak normalny człowiek, nawet gdyby odkryła w takim urzędniku podatkowym tę całą energię, tego całego *powera* i radość, nie wytrzymałaby długo z praniem szarego garnituru, wytykaniem na przystanku autobusowym i omijaniem na ulicy jego osoby. Już kiedyś próbowałem, naprawdę... Alusia... Alicja była naprawdę piękną i pomysłową kobietą, artystką. Miała niesamowitą duszę i mnóstwo pomysłów, jej obrazy były przepiękne, ale... Byłem urzędasem. Byłem zbyt nieciekawym dla niej i nie mogła znieść tych wszystkich niedogodności związanych z byciem ze mną. Przerosło ją to, co całkowicie rozumiem. Ale przez to, przez to cholerne biurko z Ikei, ten beznadziejny komputer i te wszystkie bezsensowne papiery...

Jedną ręką zrzuca wszystkie kartki z blatu, a te rozsypują się wokół biurka.

... i przez to, przez jeden, głupi, szary garnitur...

Gwałtownym ruchem rozpina guziki marynarki i zrzuca ją z ramion.

... straciłem możliwość kochania, bycia kochanym, zasmakowania tej powszechnie rozpoznawanej i nieustannie wspominanej miłości. Ominęło mnie inne życie. Przez to, że byłem jakimś szarakiem, gościem w garniturze, zamiast... być sobą.

Wstaje.

Może tak po prostu, może nie tak po prostu. Być sobą.

Gaśnie światło, mężczyzna wychodzi. Na scenie zostaje tylko pokrowiec z saksofonem w środku i butelka wina. Mężczyzna wraca w białej koszuli i spodniach od garnituru. Siada na brzegu sceny.

Nigdy nie chciałem być urzędnikiem z własnej woli. Tak jak panu mówiłem na początku, przechowuję w swoim umyśle i sercu jeden duszący sekret. Jedną rzecz, której nikt by się po mnie nie spodziewał. Jeden jedyny fakt, którego wyjawienie wnet zmieniłoby światło padające na moją osobę. Zamiast szarego reflektora, może w końcu zyskałbym coś żywszego. Kto wie... Może nawet różowy?

Pije łyk wina z butelki.

Wylóżmy wszystkie karty na stół. A co, przecież żyje się tylko raz. Szczerze? Kiedyś trzeba w końcu zaryzykować. Już i tak zmarnowałem zbyt wiele czasu. Teraz nie mam już nic do stracenia.

Chwila ciszy.

Wczoraj złożyłem wypowiedzenie w Urzędzie Skarbowym.

Co, pan też jest zdziwiony? Spodziewałem się tego, mój szef również był, nawet jeszcze bardziej niż pan. Spytał mnie, czy dobrze się czuję, czy nie jestem pijany albo pod wpływem narkotyków, a gdy cierpliwie zaprzeczyłem, chciał się dowiedzieć, czy to nie wpływ jakiejś kobiety albo innego urzędu, który oferuje większą pensję. Znów powiedziałem „nie”. Wtedy spojrzał na mnie i poważnym tonem głosu stwierdził, że odkąd tu pracuje, czyli od dwudziestu pięciu lat, nikt dobrowolnie nie złożył na jego ręce wypowiedzenia. Wzruszyłem ramionami. Tak jak teraz. Zawsze musi być ten pierwszy raz, prawda?

No właśnie.

Pewnie zastanawia się pan, co do diaska teraz będę robił ze swoim życiem. Szczerze mówiąc, to ja też się nad tym zastanawiałem. Całą noc nie spałem i myślałem, co ze mną teraz będzie.

Ale w końcu doszedłem do wniosku, że przecież już wiem. Kiedy nosiłem się z myślą odejścia z pracy, wiedziałem. Kiedy pisałem wypowiedzenie, wiedziałem. Kiedy składałem je na ręce dyrektora, wiedziałem. I kiedy sprzątałem to swoje biurko z Ikei i kiedy nie czułem żalu przy wyrzucaniu tych wszystkich kłopotów, wtedy też wiedziałem.

Wie pan, co będę robił?

Będę robił... Będę robił to, co zawsze chciałem. A wie pan, czego zawsze chciałem? Od dzieciaka w gąszczu marzeń o samochodzikach, wozach strażackich i mieczach, przechowywałem dwa wielkie pragnienia. Jedno... leży tu. Widzi pan to ogromne czarne pudło? Tak, właśnie to.

Otwiera zamek pokrowca i wyjmuje z niego instrument.

Saksofon. Największa materialna miłość mojego życia. Wie pan, jak nauczyłem się grać? Będąc dziesięcioletnim szkrabem po raz pierwszy usłyszałem Sidney'a Becheta. Wiesz pan, kto to jest Sidney Bechet, prawda? No ja myślę, że pan wie. Inaczej byłbym skłonny zacząć wątpić w pana inteligencję, a przecież czyja jak czyja, ale pana inteligencja utrzymuje się na wysokim poziomie. Tak czy siak, panie, to była miłość od pierwszego dźwięku. Żadnej dziewczyny w swoich młodzieńczych latach nie obdarzyłem tak głębokim uczuciem, jak utwory tego człowieka. To była magia, lekarstwo na wszelkie zło tego świata, chociaż wierzy mi pan, rodzinę miałem całkiem w porządku, tyle tylko, że, no, nie umiałem się im przeciwstawić. Jednak Bechet wpajał we mnie nadzieję, że może kiedyś, któregoś dnia jeszcze coś zmienię. Każdy dźwięk emanował innym uczuciem, zależnie od czasu i miejsca, w którym go słuchałem. Kiedy wstąpiłem do Krajowej Szkoły Administracji Publicznej, każdy utwór miał karcący wydźwięk. Mało tego - smutny. Naprawdę smutny. Jakby Bechet się na mnie zawiódł. Przez tyle lat, odkąd usiadłem za tym biurkiem z Ikei przed tym starym jak świat ekranem, obiecywałem sobie, że nie zawiódę Becheta. Rodziców już uszczęśliwiłem – proszę, mają synka urzędnika. Ale teraz... Teraz muszę uszczęśliwić też mojego guru. I samego siebie, przy okazji.

Nauczyłem się grać dosyć szybko, z pomocą mojej nauczycielki muzyki, świętej pamięci pani Anny, która w każdą środę, piątek i niedzielę wieczorem wykradała ze schowka w szkole muzycznej, gdzie pracowała jako nauczycielka śpiewu, instrument dla mnie. Mój pierwszy saksofon – delikatnie i słodko brzmiący saksofon sopranowy. Traktowałem ten przedmiot jak bóstwo, przysięgam. Grałem aż do osiemnastego roku życia, nie bacząc na brak akceptacji mojej pasji przez rodziców i rodzinę. Po prostu grałem. Doskonale wiedziałem, jakie życie mnie czeka, więc grałem. A kiedy ukończyłem szkołę i wyjechałem do wielkiego miasta kształcić się dalej, kupiłem własny saksofon. Tym razem altowy. A w akademiku schowałem go głęboko, na dnie

szafy. Wiele razy, w dobach największego kryzysu finansowego nosiłem się z zamiarem sprzedania go. Ale na szczęście nigdy tego nie zrobiłem. Potem, gdy przeniosłem się do swojego mieszkania, również go ukryłem. Byłem urzędnikiem, nie chciałem, żeby sąsiedzi usłyszeli, jak gram. Co by sobie pomyśleli – urzędnik saksofonista? Śmiechu warte.

No ale właśnie. Byłem urzędnikiem. A skoro teraz już nim nie jestem... To chyba mogę zagrać, prawda? Nie będzie miał pan nic przeciwko? Tylko uprzedzam, dawno tego nie robiłem...

Wstaje, bierze saksofon w dłonie. Zaczyna grać jazzową partię solową na saksofon Kenni'ego Holmena z piosenki „Isn't she lovely”.

Tak, zdecydowanie dawno tego nie robiłem.

Przechadza się spokojnie po scenie. Wciąż trzyma instrument w rękach.

Mam nadzieję, że się panu podobało. Uwielbiam ten utwór – jest taki żywy, pełen energii, skoczny, zadziorny, aż prosi się o to, żeby się uśmiechnąć. Nieprawdaż? Wie pan co, zawsze chciałem wstąpić do orkiestry. Albo nie, założyć zespół jazzowy. Znaleźć jeszcze jednego saksofonistę, perkusistę, gitarzystę basowego i fortepianistę. Albo najlepiej fortepianistkę. Fortepian zawsze kojarzył mi się z kobietami. No i oczywiście śpiewaczkę. Moglibyśmy robić próby w starej sali koncertowej w piwnicy szkoły muzycznej. Tak, to byłoby niesamowite. Znać ludzi, którzy rozumieliby mnie i moją pasję... Zaprzyjaźnić się z nimi, spędzać czas, przeżywać niesamowite chwile, a potem mieć co wspominać... Może nawet się zakochać? Na przykład w tej fortepianistce. A jeśli nie w niej to w śpiewaczce. Osobiście wolałbym w fortepianistce, ale miłości się nie wybiera, prawda? Moglibyśmy koncertować – najpierw w naszym mieście, małych kawiarniach, większych restauracjach, klubach... Z czasem wyjechalibyśmy gdzieś dalej, zagrali koncert dla szerszej publiki... Może ktoś zaproponowałby nam kontrakt i weszlibyśmy do studia... Nagrali swoją własną płytę. Ale wie pan, mi nie chodzi o sławę i pieniądze... Raczej o fakt, że zrobiłbym w końcu coś dla siebie, nie dla kogoś. I nie w szarym garniturze. Awersję do szarych garniturów będę miał chyba do końca życia.

To wszystko byłoby piękne, prawda? Zagrać „Sweet Georgia Brown” dla tej pięknej fortepianistki i widzieć uśmiech na jej ustach i rumieńce na jej policzkach...

Zaczyna grać jazzową partię solową na saksofon Kenni'ego Holmena z piosenki „Sweet Georgia Brown”.

Tak, to byłoby niesamowite... Ale... Przepraszam. Chyba się zapędziłem. Starczy już tego dobrego.

W pośpiechu chowa saksofon do pokrowca.

No więc... Co... Jeszcze jedno marzenie. No tak. Prawda. Zapomniałbym. Więc... Boże, denerwuję się. Nie wiem, czy powinienem panu mówić. To chyba nie wypada, lepiej zostawić to dla siebie. Ale z drugiej strony... Nie, nie wiem. Panie, nie wiem... Powiedzieć...? Ale nie będzie się pan śmiał...? Na pewno...? No dobrze, a więc... Ale niech się pan nie śmieje!

Poza tym, że kocham grać na saksofonie, to... Zawsze chciałem występować w kabaretach.

No i czego, i czego się pan śmieje?! Jest pan niekulturalny i niewychowany! To takie zabawne? To chyba pan dobrego skeczu nie widział! Uważa pan, że nie dam rady nic wartego złamanego grosza przedstawić? Że szaraczek taki jak ja, sztywniak w garniturze nie rozśmieszy nikogo?! Już ja panu pokażę, jeszcze się pan przekonaj! Mówi pan, że nie dam rady zagrać skeczu w pojedynkę na dwie osoby?! To się pan myli, już ja to panu udowodnię! Niech no pan tylko czeka!

Wybiega ze sceny. Gasną światła. Saksofon i wino zostają przesunięte na bok sceny, a na środku pojawia się to samo dębowe biurko i komputer oraz telefon na nim oraz obrotowe krzesło. Obok biurka stoi kosz na śmieci. Mężczyzna wraca w damskiej peruce na głowie i sukience w kwiaty założonej na garnitur. Trzyma w ręku męski kapelusz.

Skecz pod tytułem „Paszport”, scena zaczerpnięta z życia petentów wydziału paszportowego w

urzędzie w naszym mieście.

Siada za biurkiem. Naśladuje damski głos.

Jest pięć po ósmej, a jestem zmęczona, jakby było piętnaście po! Ten pośpiech mnie kiedyś wykończy.

Dzwoni telefon. Podnosi słuchawkę.

Słucham?

Odsuwa słuchawkę od ucha i naśladuje inny damski głos, udając rozmówcę po drugiej stronie. Robi tak przez całą rozmowę.

Halo? Marzenka? Tu Bożenka. Kawę w wiadrze robię, zrobić ci?

Tak, poproszę, ale słabą.

Z cytryną?

Aha.

Okej... aha, najważniejsze!

Co się stało?

No nic, słuchaj, jest taka sprawa, bo po urządzie chodzi taki gościu, od ISO, wiesz?

Od czego?

Od ISO!

A co to takiego to ISO?

To jest ta kontrola jakości usług, cośmy ją wprowadziły. Co to patrz, czy jesteśmy miłe, uprzejme i ładnie petentów obsługujemy. No gdzie mi się tu ładuje?! Od kiedy to na wózku bez kolejki! Uważaj na niego, bo to jest tajniak, ale ma na nazwisko Kosidowski.

Dobra, pa!

Odkłada telefon. Wstaje z krzesła i zbiega ze sceny. Po chwili wychodzi z kulisy z kapeluszem na głowie. Udaje petenta.

Dzień dobry!

Szybko siada na krześle i zdejmuje kapelusz, zwraca się w stronę miejsca, w którym stał petent.

No no, proszę tak nie szaleć...

Nakłada kapelusz i wraca na miejsce petenta. Udaje petenta. Gra dwie postaci przez cały dialog, zamieniając się miejscami.

Dzień dobry, to może ja na początek usiądę.

Proszę, niech pan stoi.

Ja w sprawie paszportu...

Nie ma.

Jak nie ma, jeszcze nazwiska nie podałem, a pani już mówi, że nie ma? Wojciech Adamczuk, proszę, niech pani sprawdzi w systemie.

To co, w pasjansie mam panu sprawdzić? Jakby był, to pan by go miał, a ma pan?

Nie...

Czyli nie ma. Ma pan oczy?

Tak.

No to widzi pan.

Proszę pani, ale ja naprawdę potrzebuje tego paszportu, ja niedługo wylatuję...

To co, jopka mam panu przylepić?

Proszę pani, cztery zdjęcia dałem, jakiego jopka?

A gdzie pan wylatuje?

Do USA.

Do Stanów? Oo, to obostrzenia wprowadzili odkąd prezydentem został Barack Osama.

Jakie obostrzenia?

Musimy dodatkową ankietę wypełnić, proszę - imię i nazwisko.

Wojciech Adamczuk.

O, cóż za zbieg okoliczności, zupełnie jak na tym paszporcie, co mi się kawa na niego wylała...

Jak się kawa...?

Miejsce urodzenia!

Kraków.

Tak? A ja już wpisałam Tel-Awiw. No trudno, niech zostanie.

Niech pani skreśli Tel-Awiw, niech pani Kraków wpisze!

I co się pan tak jątrzy? Dobrze! Skreślę! Kraków. Ale Kazimierz?

Wojciech.

To Wojciech czy Kazimierz?

Mówiłem - Wojciech

Nie, mówił pan, że Kraków.

To teraz mówię Wojciech.

Teraz to już za późno. Wie pan co, już teraz mogę panu w tajemnicy powiedzieć, że raczej pan nie poleci.

Na szczęście to nie od pani będzie zależało.

Śmieje się.

No, brnijmy w to dalej Znajomość języków obcych?

Angielski biegle.

Tak? A to proszę mi powiedzieć jak będzie po angielsku: "pierdzielę nie robię, sam sobie rób za takie pieniądze ty ciulu"?

No wie pani!

No ja akurat wiem!

Czyli znajomość podstawowa... No, już widzę jak lecis, no już widzę jak lecis, możesz pasy zapinać, będziemy lądować...

Wstaje i wychodzi ze sceny, wraca z wiadrem w ręku. Odgrywa trzecią osobę.

Kawa! Tylko się nie uświń, jak ostatnio! I uważaj, bo bardzo zimna!

Siada za biurkiem, wraca do odgrywania urzędniczki.

Dziękuję, Marzenko.

Wychodzi jako Marzenka, wraca jako urzędniczka, siada za biurkiem i pije z wiadra. Ponownie odgrywa dwie osoby – postać urzędniczki i petenta.

Pani, niech pani no poszuka tego paszportu!

Przerywa picie kawy.

Przepraszam, czy ja panu w czymś przeszkadzam?

Odsuwa się od wiadra.

Dobrze, idźmy dalej... Obsługa komputera?

Bardzo dobrze.

Tak? To proszę mi powiedzieć, jak się robi duże litery w Wordzie?

Trzeba sobie ekran przybliżyć!

Czyli jakoś pan sobie radzi... No i ostatnie pytanie - czy planuje pan zająć w ciążę?

No czy pani oszalała, przecież to jest z medycznego punktu niemożliwe!

No tak, za wąskie biodra. Chociaż, patrząc po brzuchu, to drugi trymestr.
Proszę pani, niech pani poszuka tego paszportu, mówiła pani, że kawa się na niego wylała! Ja w ogóle nie wiem, jak to jest możliwe, żeby w urzędzie kawa na dokumenty się wylewała!
No to spróbuj się pan napić z wiadra, no!
Proszę pani, no, niech pani go poszuka, no!
Wie pan, że kawa się na niego wylała, no to może być tylko w jednym miejscu.
Czyli gdzie?
My to nazywamy podanie o wyjazd do Koszyc.
Gdzie?
Tutaj!
Stawia kosz na śmieci na biurku. Grzebie w nim.
Zaraz... Kogo my tu mamy... Michnik nie, Polański nie, Brzechwa...? O, ten to już długo nie odbiera. O, jest! Trochę od kawy mokry, ale jest!
Podaje paszport.
No to dziękuję, dlaczego mi go pani od razu nie dała?
Bo błędnie pan podał miejsce urodzenia.
No jak, przecież podałem Kraków.
A tu jest wpisane Tel-Awiv.
No jak to... No niech będzie już ten Tel-Awiv, ale powiem pani tak: niby tu ISO wprowadzono, a w tym urzędzie dalej z kulturą jest ciężko!
Proszę pana, ciężko to się pisze esemesy w rękawicach zimowych!

Wychodzi z wiadrem w dłoni. Wraca na scenę w normalnym przebraniu.

No i co? Dalej ma pan wątpliwości co do tego, czy trzyosobową scenkę może zagrać jedna osoba? Mam nadzieję, że już nie. Matko Boska Częstochowska, zmęczyłem się...

Uśmiecha się, jednak uśmiech szybko znika z jego twarzy. Z westchnieniem bierze w dłoń butelkę wina i siada pod ścianą.

Ale... Czy to co robię, jest właściwe? Boże... Boże, jaki ze mnie idiota! Rzucić stałą, rozsądną pracę dla kilku marzeń, kilku złamanego grosza wartych pasji, zachcianek, jakiś wyidealizowanych wersji rzeczywistości! Co za głupota, szczyt głupoty! Jak mogłem zrobić coś tak... nierozsądnego? Przecież, na Boga, urzędnikiem jestem! Urzędnicy to ludzie rozsądni, rozważni, oni wiedzą, co zrobić, żeby było dobrze i żeby na tym nie ucierpieć, a ja...? Ja właśnie zamknąłem sobie drogę do spokojnego życia i równie spokojnej śmierci i przestąpiłem próg krainy życia w nędzy. Jeszcze za ten miesiąc czynsz opłacę, za następny również, jakbym zacisnął pasa i jadł tylko suchy chleb... Ale za kolejne? W końcu pensja ze stycznia się skończy i co ja zrobię? Pójdę na bruk... Rodzice mnie do siebie nie przyjmą, jak się dowiedzą, co zrobiłem... A co zrobiłem? Zachciało mi się być muzykiem grającym w kabaretach... Kabarety! Szczyt głupoty! Niby z kim miałbym układać jakieś scenki? Rozbawiać ludzi? Ja w ogóle przecież jestem mało śmieszny. Matko boska, co za głupota, co za kretynstwo, co za bezmyślność... Ojciec dobrze mówił, dobrze, że bym był tym cholernym urzędnikiem i nie marudził... A ja... ja się zbuntowałem, jak jakiś małolat, niedorozwinięty dzieciak, co mu tylko hormony w głowie mieszają! Co ja teraz zrobię... Tylko się zapić, panie, tylko się zapić...

W tle cicho leci „Royal Garden Blues” Sidney'a Becheta.

Nie, cholera jasna, tak nie może być. Skoro już zagrałem pierwszy dźwięk, trzeba zagrać kolejne, prawda? Nie tego uczyła pani Anna, nie o tym grał Bechet... Żeby się poddawać. Wciąż twierdzę, że zrobiłem głupotę, ale... Trzeba tę głupotę obrócić jakoś na moją korzyść. Tego przynajmniej się jako urzędnik nauczyłem.

Wstaje z miejsca. Chodzi po scenie. Zastanawia się.

Skoro już zdarłem swoją skórę szaraczka, to warto by było to podkreślić...

Wybiega ze sceny. Wraca ubrany w czerwoną koszulkę, dżinsowe spodnie i trampki.

Tak o wiele lepiej. Nigdy więcej bycia zwykłym urzędnikiem. Teraz będę robił to, co kocham. Ale jak tu się do tego zabrać.... Wiem! Pójdę na przesłuchania do orkiestry w Miejscowym Ośrodku Kultury! Ostatnio jeden z petentów w urzędzie mówił, że chcą zebrać nowy skład... Może mi się uda. Nie dowiem się, jeśli nie spróbuję, prawda? Boże, to nowe życie! Dzięki ci, Najdoskonalszy! I wie pan co? Jak mi się uda to kupię najdroższe wino i pójdę do rodziców. Wiem, to trochę ryzykowne, mogą mnie wyrzucić i znienawidzić, ale... Ale zrobię to. Zrobię to, rozumie pan?

Bierze łyk wina z butelki.

Zrobię to. Właśnie. Trudno, to było nierozsądne, ale dalej żyć trzeba. I wie pan co? Założę sobie konto na Naszej Klasie i... Znajdę wszystkich moich starych znajomych z klasy licealnej. Ale najpierw... Najpierw zrobię sobie... slit focie, tak to się mówi? Chyba tak. Kiedyś jakaś pani z piętnastoletnim dzieckiem przyszła do mnie uścić podatek akcyzowy i ta dziewczyna mówiła o czymś takim przez telefon. I wtedy ta matka syknęła na nią: „Dziecko, nie rób sobie zdjęć w urzędzie!”. Więc slit focie to muszą być zdjęcia. No to zrobię sobie takie zdjęcie z saksofonem. Albo w tej sukience z kabaretu! Wie pan, to jest w ogóle mój ukochany kabaret! O, i jeszcze coś muszę zrobić, drogi panie... Do Alusi zadzwonić... Owszem, słyszałem, że niedługo wychodzi za mąż, ale... Nigdy nie jest za późno, żeby coś w swoim życiu zmienić, prawda? Muszę... Nie mogę pozwolić jej odejść! Tak, właśnie. Nie mogę.

Uśmiecha się, jednak ten uśmiech jest znużony.

Panie Boże, ale jestem zmęczony... Chyba... Chyba to wszystko zrobię jutro, wie pan? Na trzeźwo. Ta butelka wina... To już któraś tam z kolei, wie pan? I ten kabaret, i ta gra... Trochę mi się spać przez to zachciało... No, to pan wybaczy, ja chyba pójdę się położyć. Pewnie późno już, co? Boże, może sąsiedzi mnie nie zabiją za to granie o północy... Nieważne.

Odbija mu się.

Dziękuję za wysłuchanie, panie i za to, żeś pan wpłynął tak na moje życie. Niech pana Bóg pobłogosławi, wszystkiego najlepszego! Niedługo usłyszysz pan o mnie w radiu! Dobranoc panu!

Wychodzi ze sceny. Po chwili jednak wraca z powrotem.

O, jeszcze saksofon, zapomniałem, wybaczy pan.

Zakłada pokrowiec na ramię.

Dobranoc wszystkim!

Wychodzi. Gasną światła. W tle słychać „Bonjour Paris” Sidneya Becheta. Ze sceny znika biurko i pozostałe rekwizyty. W zamian pojawia się mały czarny stolik. Na nim znajduje się cerata w kratę, wazon z pojedynczą różą i odbiornik radiowy. Tylko to miejsce na scenie jest oświetlone. Słychać szmer nastawianego kanału, a potem głos prezentera wiadomości.

Dziś rano o godzinie ósmej piętnaście doszło do wypadku autobusu linii numer sto pięć na ulicy Bolesława Prusa w Warszawie. Kierowca pojazdu najprawdopodobniej stracił panowanie nad kierownicą lub zasnął. Autobusem jechało wtedy dwadzieścia pięć osób. Dwadzieścia cztery osoby przeżyły i znajdują się obecnie w szpitalu, jeden z pasażerów zmarł. Po zidentyfikowaniu ofiary okazało się, iż był nią jeden z byłych pracowników Urzędu Skarbowego. Co ciekawe, miał ze sobą pokrowiec z saksofonem. Ani instrumentu, ani jego właściciela nie udało się uratować. Mężczyzna prawdopodobnie dostał zawału w czasie podróży, a sam wypadek nie miał nic wspólnego z jego nagłą śmiercią. Więcej informacji na temat tematu po dwunastej. Tymczasem zapraszamy państwa na kolejną porcję porannych hitów.

Słychać „Summertime” Sidneya Becheta. Muzyka jest stopniowo wyciszana. Gasną światła, opada kurtyna.

KONIEC

Utwory wykorzystane w sztuce:

- „Cry me a river” - <http://youtu.be/XLSOWrZy6xs>
- „Tears in Heaven” - <http://youtu.be/QTWIXGRP39I>
- „When a man loves a woman” - <http://youtu.be/UmXzHuAvkGw>
- „Isn't she lovely” - <http://youtu.be/zi9gUR85ujQ>
- „Sweet Georgia Brown” - <http://youtu.be/7DHeb4EHc-I>
- „Royal Garden Blues” - <http://youtu.be/jyvH6wf4ghw>
- skecz autorstwa kabaretu „Neo-Nówka” pod tytułem „Paszport” - <http://youtu.be/3AFwIOmeA8Y>